



JOHN
GRISHAM

NOWOŚĆ
2024

ULUBIONY PISARZ AMERYKI

ONA
ALBO STO
TYSIĘCY
DOLARÓW.

GRA Z CZASEM
O NAJWYŻSZĄ
STAWKĘ.

KONTYNUACJA KULTOWEJ *FIRMY*

WYMIANA

ALBATROS

Tytuł oryginału:
THE EXCHANGE

Copyright © Belfry Holdings, Inc. 2023
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2024

Polish translation copyright © Andrzej Szulc 2024

Redakcja: Marzena Wasilewska

Projekt graficzny okładki: Agnieszka Drabek / Wydawnictwo Albatros Sp z o.o.

Zdjęcie na okładce: © Dave Wall/Arcangel Images

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



Rozdział 1

Stojąc przy oknie, Mitch McDeere patrzył z czterdziestego ósmego piętra lśniącego wieżowca na południowym skraju Manhattanu na Battery Park i rozciągające się za nim zatłoczone wody. Sunące po nich statki były najróżniejszych rozmiarów i rodzajów. Masywne kontenerowce zdawały się stać w miejscu. Prom kursujący na Staten Island mijał właśnie Ellis Island. Wypełniony turystami statek wycieczkowy wypływał na pełne morze. Megajacht wpływał dumnie do portu. Jakiś śmiałek na pięciometrowym kataranie lawirował dzielnie między tymi jednostkami. Co najmniej pięć helikopterów bzycało niczym wściekle szerzenie, unosząc się trzysta metrów nad taflą wody. Znacznie dalej, na moście Verrazano, stały w korku, zderzak przy zderzaku, wielkie ciężarówki. Bogini Wolności patrzyła na to wszystko ze swojego majestatycznego cokołu. Widok był niesamowity i Mitch starał się nim nacieszyć przynajmniej raz dziennie. Czasami mu się to udawało, ale miał na ogół zbyt napięty grafik, by pozwolić sobie na takie fanaberie.

Pracował na godziny i to one rządziły jego życiem, jego i setek innych prawników w tym budynku. Kancelaria Scully i Pershing zatrudniała ich na całym świecie ponad dwa tysiące i uważała się nieskromnie za najpotężniejszą globalną korporację prawniczą. Jej nowojorscy starsi wspólnicy, do których należał Mitch, wynagradzali to sobie wielkimi gabinetami w finansowym centrum miasta. Firma miała sto lat i śmierdziała pieniędzmi, prestiżem i władzą.

Mitch zerknął na zegarek i podziwianie widoków dobiegło końca. Do drzwi zapukało dwóch młodszych wspólników i rozpoczęła się kolejna odprawa. Usiedli przy małym stoliku i sekretarka zaproponowała kawę. Kiedy odmówili, wyszła. Klientem był fiński armator, który miał problemy w RPA. Tamtejsze władze zarekwirowały frachtowiec z tajwańską elektroniką. Pusty statek był wart mniej więcej sto milionów dolarów. Z ładunkiem dwa razy tyle, a władze RPA miały jakieś zastrzeżenia do taryf przewozowych. W ostatnim roku Mitch odwiedził już dwa razy Kapsztad i nie miał ochoty lecieć tam ponownie. Pół godziny później dał młodszemu wspólnikom instrukcje, odprawił ich i przyjął kolejnych.

Punktualnie o piątej po południu zamienił kilka słów z sekretarką, która wychodziła do domu, po czym minąwszy windy, otworzył drzwi na klatkę schodową. Kiedy miał do pokonania tylko kilka pięter w górę lub w dół, nigdy nie jeździł windą. Nie chciał wysłuchiwać w niej bezsensownej paplaniny prawników, których znał i których nie znał. Miał w firmie wielu przyjaciół i tylko garstkę jawnych wrogów i zawsze powinien być gotowy na spotkanie z jakimś asysten-

tem albo młodszym wspólnikiem, którego twarz i nazwisko powinien znać. Niestety, często ich nie rozpoznawał, a nie miał czasu na przeglądanie spisu zatrudnionych w firmie prawników i uczenie się na pamięć ich nazwisk. Wiedział, że wielu odejdzie z firmy, zanim zdąży ich poznać.

Pokonując pieszo schody, wzmacniał płuca oraz mięśnie nóg i uświadamiał sobie po raz kolejny, że nie jest już studentem, nie gra w futbol i rekreacyjnie w koszykówkę i nie potrafi tego robić godzinami. Miał czterdzieści jeden lat i wciąż był w niezłej formie, bo pilnował diety – przynajmniej trzy razy w tygodniu nie jadł lunchu – i ćwiczył w należącej do firmy siłowni, korzystając z kolejnego przywileju przysługującego tylko starszym wspólnikom.

Zszedł na czterdzieste drugie piętro i ruszył korytarzem do gabinetu Williego Backstroma, który choć był podobnie jak on starszym wspólnikiem, nie musiał rozliczać godzin. Willie zarządzał programami pro bono firmy i mimo że pracował codziennie od rana do wieczora, nie wystawiał za to rachunków. Nie było nikogo, kto mógłby je uregulować. Prawnicy, a zwłaszcza starsi wspólnicy zarabiali dużo kasy i firma była znana z angażowania się pro bono w najróżniejsze trudne sprawy na całym świecie. Każdy prawnik miał obowiązek przeznaczania na nie przynajmniej dziesięć procent swojego czasu. A wszystko to zatwierdzał Willie.

W kwestii pracy pro bono poglądy pracowników kancelarii były podzielone równo na pół. Jedni akceptowali ją, bo była szansą wyrwania się z kierunku reprezentowania korporacyjnych klientów. Przez kilka godzin w miesiącu adwokat mógł reprezentować żywego człowieka albo organizację

non profit i nie martwić się o rachunki i honorarium. Druga połowa głośno popierała szlachetne intencje stojące za tym rozwiązaniem, ale w skrytości ducha uważała je za marnotrawstwo. Tych dwieście pięćdziesiąt godzin rocznie można było spędzić efektywniej, zarabiając pieniądze i wzmacniając swoją pozycję w różnych wewnętrznych komitetach, od których zależało, kto będzie awansował, kto zostanie starszym wspólnikiem, a kogo wyślą na zieloną trawkę.

Willie Backstrom nie pozwalał, by na tym tle doszło do konfliktu, co nie było w gruncie rzeczy zbyt trudne, bo żaden z prawników, bez względu na to, jakie żywili ambicje, nie ośmieliłby się kiedykolwiek podważać programów pro bono. Kancelaria przyznawała nawet coroczne nagrody tym, którzy szczególnie zasłużyli się na tym polu.

Mitch spędzał obecnie cztery godziny tygodniowo, pracując na rzecz schronisk dla bezdomnych na Bronxie i reprezentując klientów, którym groziła eksmisja. Była to czysta, biurowa robota – dokładnie taka, jaką chciał wykonywać. Siedem miesięcy wcześniej patrzył, jak jego skazany na śmierć klient w Alabamie wypowiada ostatnie słowa przed egzekucją. W ciągu sześciu lat przepracował pro bono osiemset godzin, starając się go bezskutecznie uratować. Patrząc, jak umiera, miał poczucie dotkliwej ostatecznej klęski.

Nie wiedział, czego chce od niego Willie, ale nie podobało mu się to wezwanie.

Willie był w Scully i Pershing jedynym prawnikiem, który nosił kitkę, w dodatku dość nieapetyczną. Była siwa, podobnie jak jego broda, i jeszcze kilka lat wcześniej jego zwierzchnik powiedziałby mu bez ogródek, żeby się ostrzygł

i ogolił. Obecnie firma starała się jednak odmienić swój wizerunek klubu białych facetów w białych koszulach i ciemnych garniturach. Jedną z radykalnych zmian było zerwanie z dress code'em. Willie Backstrom zapuścił włosy i bokobrody i przychodził do pracy w dżinsach.

Mitch, który był w garniturze, lecz bez krawata, usiadł na przeciwko niego przy biurku i przez chwilę prowadzili luźną pogawędkę.

– Jest taka sprawa na południu, Mitch. Chciałbym, żebyś się jej bliżej przyjrzał – przeszedł w końcu do rzeczy Willie.

– Nie mów mi, że klient siedzi w celi śmierci.

– Klient siedzi w celi śmierci.

– Nie mogę się tego podjąć, Willie. W ciągu ostatnich pięciu lat miałem ich dwóch i obaj dostali zastrzyk. Nie odniosłem żadnych sukcesów.

– Wykonałeś wspianą robotę, Mitch. Nikt nie zdołałby ocalić tych ludzi.

– Nie podejmę się kolejnej takiej sprawy.

– Może przynajmniej mnie wysłuchasz?

Mitch wzruszył ramionami. Słabość Williego do skazanych na śmierć była legendarna i niewielu prawników w Scully i Pershing było w stanie mu odmówić.

– Dobrze, słucham.

– Nazywa się Tad Kearny i do wykonania wyroku zostało mu dziewięćdziesiąt dni. Miesiąc temu podjął dziwną decyzję i zwolnił swoich obrońców, a miał ich całkiem niezłych.

– Wygląda na to, że ma nie po kolei w głowie.

– Owszem. Nie mieści się w normie i jest prawdopodobnie niepoczytalny, ale w Tennessee raczej się tym nie

przejmują. Dziesięć lat temu zastrzelił trzech przykrywkowców z DEA w trakcie zasadzki, która raczej nie poszła po ich myśli. Totalna jatka, łącznie pięć trupów. Kearny został ciężko ranny, ale zdołali go uratować. Tylko po to, by móc go zabić później.

Mitch roześmiał się sfrustrowany.

– Czyli mam wjechać na białym koniu i ocalić tego facecika? Naprawdę, Willie. Daj mi coś, przy czym miałbym jakieś argumenty.

– Właściwie nie ma żadnego oprócz niepoczytalności. Problem polega na tym, że Tad Kearny prawdopodobnie nie będzie chciał się z tobą spotkać.

– Więc po co mamy sobie zawracać nim głowę?

– Bo musimy spróbować, Mitch, i jesteś naszym najlepszym kandydatem.

– Mów dalej.

– Chodzi o to, że bardzo go przypominasz.

– Jezu, wielkie dzięki.

– Serio. Jest biały, w twoim wieku i pochodzi z hrabstwa Dane w Kentucky.

Przez sekundę Mitch nie wiedział, co odpowiedzieć.

– Wspaniale – rzucił w końcu. – Jesteśmy pewnie kuzynami.

– Nie wydaje mi się, ale jego ojciec pracował w kopalni węgla, tak jak twój. I tak jak twój zginął tam w wypadku.

– Nie będę z tobą dyskutować o mojej rodzinie.

– Przepraszam. Miałeś sporo szczęścia i dość rozumu, żeby się stamtąd wyrwać. Tad Kearny nie i wkopał się w narkotyki, jako ćpun i diler. On i kilku jego kumpli zorganizowa-

wali dużą dostawę niedaleko Memphis i wpadli w zasadzkę zastawioną przez DEA. Zginęli wszyscy oprócz Kearny'ego. Wygląda na to, że tym razem nie dopisało mu szczęście.

– Były wątpliwości co do jego winy?

– Na pewno nie mieli ich przysięgli. Skupiamy się nie na jego winie, ale na niepoczytalności. Chodzi o to, żeby przebadali go specjaliści, nasi psychiatrzy, i złożyli odpowiednie wnioski. Najpierw jednak ktoś musi złożyć mu wizytę w mamrze i z nim pogadać. W tym momencie nie przyjmuje żadnych gości.

– I myślisz, że uzyskamy zgodę na skierowanie go na badania?

– Sprawa nie jest prosta, ale dlaczego nie spróbować?

Mitch wziął głęboki oddech. Próbował znaleźć jakiś pretekst, żeby się z tego wykręcić.

– Kto prowadzi tę sprawę? – zapytał, żeby zyskać na czasie.

– Formalnie rzecz biorąc, nikt. Kearny liźnął trochę prawa za kratkami i wypełnił wszystkie konieczne dokumenty, żeby zakończyć współpracę ze swoimi adwokatami. Przez dłuższy czas reprezentował go Amos Patrick, jeden z najlepszych tamtejszych prawników. Znasz Amosa?

– Spotkałem go raz na konferencji. Świetny facet.

– Większość adwokatów, którzy bronią skazanych na śmierć, to świetni faceci.

– Posłuchaj, Willie, nie chcę stać się prawnikiem broniącym skazanych na śmierć. Podejmowałem się tego dwa razy i na tym koniec. Te sprawy mnie wykańczają i nie pozwalają zajmować się niczym innym. Ile razy oglądałeś, jak

uśmiercają twoich klientów?

Willie zamknął oczy i wziął głęboki oddech.

– Przepraszam – szepnął Mitch.

– Zbyt wiele razy. Uznajmy więc, że to przerabiałem. Słuchaj, odbyłem bardzo długą rozmowę z Amosem i podoba mu się ten pomysł. Zawiezie cię do więzienia i kto wie, być może Kearny uzna cię za interesującego faceta i zgodzi się z tobą pogadać.

– Wygląda mi to na ślepą uliczkę.

– Za dziewięćdziesiąt dni na pewno zakończy się to ślepa uliczka, ale przynajmniej spróbujemy.

Mitch wstał i podszedł do okna. Z gabinetu Williego rozciągał się widok na zachód, na rzekę Hudson.

– Amos pracuje w Memphis? – zapytał.

– Tak.

– Naprawdę nie chcę tam wracać. Za dużo wspomnień.

– Wspomnień z innego życia, Mitch. Sprzed piętnastu lat. Wybrałeś złą firmę i musiałeś z niej odejść.

– Musiałem z niej odejść? Do diabła, przecież próbowali mnie tam ukatrupić. Zginęli ludzie, Willie, a całe kierownictwo poszło siedzieć. Razem ze swoimi klientami.

– Wszyscy zasłużyli, żeby trafić za kratki, tak czy nie?

– Pewnie tak, ale trafili tam przeze mnie.

– Już ich tam nie ma. Rozpierzchli się.

Mitch ponownie usiadł na krześle i uśmiechnął się do przyjaciela.

– Zapytam z czystej ciekawości – powiedział. – Czy ludzie tutaj mówią coś o mnie i o tym, co wydarzyło się w Memphis?

– Nie, nikt o tym nigdy nie wspomina. Znamy tę historię, ale nikt nie ma czasu o tym gadać. Zrobiłeś, co trzeba, odszedłeś i zacząłeś od nowa. Jesteś jednym z naszych gwiazdorów, Mitch, a w Scully i Pershing tylko to się liczy.

– Nie chcę wracać do Memphis.

– Musisz wyrobić więcej godzin pro bono. W tym roku trochę ci brakuje.

– Nadrobię to. Dlaczego nie możesz mi znaleźć jakiejś miłej fundacji, która potrzebuje darmowych porad prawnych? Organizacji pozarządowej, która karmi głodne dzieci albo dostarcza czystą wodę na Haiti?

– Zanudziłbyś się na śmierć. Preferujesz akcję, dramat, tykający zegar.

– Już to zaliczyłem.

– Błagam. Proszę cię o przysługę. Nie mamy naprawdę nikogo innego. I nie można wykluczyć, że nie przekroczysz nawet bramy więzienia.

– Naprawdę nie chcę wracać do Memphis.

– Bądź mężczyzną. Jutro o pierwszej trzydzieści masz bezpośredni lot z LaGuardii. Amos cię oczekuje. Jeśli nic się nie da zrobić, spędzisz przynajmniej miło czas w jego towarzystwie.

Mitch uśmiechnął się pokonany.

– No dobrze – mruknął, wstając z krzesła. – Mam wrażenie, że pamiętam jakichś Kearnych z hrabstwa Dane – dodał i ruszył do drzwi.

– Bravo! Złóż wizytę Tadowi. Masz rację. Może być twoim dalekim kuzynem.

– Nie dość dalekim.

Rozdział 2

Większość wspólników w Scully i Pershing, podobnie jak ich rywale z innych wielkich kancelarii i rzesze inwestorów z Wall Street, wychodziła ze swoich szklanych wież koło szóstej po południu i wsiadała do czarnych sedanów z szoferami za kierownicą. Jeszcze ważniejsi od nich gwiazdorzy funduszy hedgingowych siadali na tylnych kanapach przestronnych europejskich limuzyn z szoferami, których osobiście zatrudniali. Prawdziwi możni tego świata w ogóle wynieśli się z Manhattanu; mieszkali i pracowali w zacisznym Connecticut.

Choć stać go było na limuzynę, Mitch jeździł metrem – dając kolejny dowód, że jest oszczędny i nie zapomina o swojej skromnej przeszłości. O osiemnastej dziesięć wsiadał do pociągu odjeżdżającego z South Ferry, znajdował sobie miejsce w zatłoczonym wagonie i jak zwykle wtykał nos w gazetę. Należało unikać kontaktu wzrokowego. Pełno tu było zmierzających na północ nadzianych facetów, z których żaden nie miał ochoty na pogawędkę. W jeździe metrem nie

ma nic złego. Jest szybkie, wygodne, tanie i na ogół bezpieczne. Problem polegał na tym, że inni pasażerowie byli, jak by to powiedzieć, z Wall Street, zarabiali więc dużo szmal albo już wkrótce mieli go zarabiać. Prywatne limuzyny były niemal w ich zasięgu. Ich dni w kolejce podziemnej dobiegały końca.

Mitch nie zwracał sobie głowy takimi bzdurami. Przejrzał gazetę, przysunął się do innych pasażerów, kiedy na kolejnych stacjach wsiadło więcej ludzi, i cofnął się myślami do Memphis. Nigdy nie twierdził na głos, że w życiu tam nie wróci. On i Abby nie musieli tego sobie mówić. Ucieczka stamtąd była tak przerażająca, że po prostu nie wyobrażali sobie powrotu. Z jakiegokolwiek powodu. Im dłużej jednak o tym myślał, tym bardziej był zaintrygowany. To miał być krótki wypad, z którego prawdopodobnie nic nie wyniknie. Wyświadczał Williemu dość dużą przysługę, za którą ten z pewnością mile mu się zrewanżuje.

Po dwudziestu dwóch minutach Mitch wysiadł na Columbus Circle i ruszył w kierunku ich apartamentowca. Był wspaniały, ciepły, bezchmurny kwietniowy wieczór – jedna z tych pocztówkowych chwil, kiedy może się zdawać, że na ulice wyległa połowa mieszkańców. Chciał jednak jak najszybciej dotrzeć do domu.

Mieszkali na rogu Sześćdziesiątej Dziewiątej Ulicy i Columbus Avenue, w samym sercu Upper West Side. Mitch zamienił kilka słów z odźwiernym, zabrał pocztę i wjechał windą na czternaste piętro. Drzwi otworzył Clark i objął go wpół. W wieku ośmiu lat nadal był tacinsynkiem i nie wstydział się okazywać mu gorących uczuć. Jego bliźniak, Carter,

był trochę dojrzały i wyrastał z rytuałów fizycznego kontaktu z ojcem. Mitch chętnie uściskałby Abby i zapytał, jak jej minął dzień, ale w tym momencie miała w kuchni gości. Całe mieszkanie wypełniał cudowny aromat. Goście szykowali wyborne dania i zapowiadała się wspaniała kolacja.

Kucharzami byli bracia Marco i Marcello Rosario, również bliźniacy. Pochodzili z małej wioski w Lombardii, w północnych Włoszech, i dwa lata wcześniej otworzyli trattorię niedaleko Lincoln Center. Restauracja od samego początku zdobyła sobie wiernych gości i „Time” przyznał jej wkrótce dwie gwiazdki. Załatwienie tam rezerwacji nie było proste: czas oczekiwania na stolik wynosił obecnie cztery miesiące. Mitch i Abby odkryli to miejsce i jedli tam, kiedy tylko chcieli. Abby zaprzyjaźniła się z braćmi Rosario, bo w jej wydawnictwie miała wyjść ich pierwsza książka kucharska. Zachęcała ich również, żeby korzystali z jej nowoczesnej kuchni, gdy eksperymentowali z nowymi przepisami. Tak więc przynajmniej raz w tygodniu bracia pojawiali się w ich mieszkaniu z torbami produktów i swoim czupurnym podejściem do gotowania. Abby też brała w nim udział, trajkocząc z nimi po włosku, a Carter i Clark siedzieli na stołkach i obserwowali wszystko z bezpiecznej odległości. Marco i Marcello uwielbiali popisywać się przed chłopcami, objaśniając po angielsku z silnym włoskim akcentem, co takiego w danym momencie robią. Nakłaniali ich również do używania włoskich słów i zwrotów.

Śmiejąc się pod nosem, Mitch rzucił teczkę na stolik, zdjął marynarkę i nalał sobie kieliszek chianti. Kiedy zapytał synów, czy odrobili pracę domową, usłyszał standardowe

zapewnienia, że wszystko jest w porządku. Marco postawił przed chłopcami talerzyk z bruschettą i poinformował Mitcha, że nie powinien martwić się o takie rzeczy jak lekcje, ponieważ Carter i Clark wykonują ważną pracę testerów smaku. Mitch udał, że wziął sobie do serca jego wyjaśnienia, ale zamierzał sprawdzić zeszyty synów.

Trattoria nazywała się, jak można się było spodziewać, Rosario i ta nazwa wyszyta była wielkimi literami na czerwonych fartuchach, które włożyli szefowie kuchni. Marcello zaproponował Mitchowi, żeby też taki włożył, ten jednak odmówił, uzasadniając to jak zwykle tym, że nie potrafi gotować. Abby, gdy byli w kuchni sami, pozwalała mu obierać i kroić warzywa, odmierzać pod jej czujnym nadzorem przyprawy, nakrywać do stołu oraz zajmować się śmieciami, czyli odwalać całą brudną robotę, bo do niczego innego się nie nadawał. Udało mu się na krótki okres awansować na stanowisko zastępcy szefa kuchni, lecz stracił je, kiedy spalił bagietkę.

Abby poprosiła o trochę wina, ale Marco i Marcello jak zwykle jej odmówili. Przed wielu laty Mitch przekonał się, że mimo olbrzymiej produkcji wina i tego, że nie brakuje go przy większości posiłków, Włosi piją go właściwie niewiele. Karafka ich ulubionego czerwonego wystarcza na ogół na długą kolację licznej rodziny.

Dzięki gruntownej wiedzy na temat włoskiej kuchni i win Abby została redaktorką prowadzącą w niewielkim, lecz prężnie działającym wydawnictwie Epicurean. Oficyna specjalizowała się w książkach kucharskich i publikowała ich około pięćdziesięciu rocznie, wszystkie pięknie wydane

i grube, pełne przepisów z całego świata. Ponieważ znała wielu szefów kuchni i właścicieli restauracji, ona i Mitch często jedli poza domem i nigdy nie musieli rezerwować stolika. Ich mieszkanie było ulubionym laboratorium dla młodych kucharzy marzących o sukcesie w mieście, w którym pełno było wspaniałych restauracji i poważnych smakoszy. Większość przygotowywanych u McDeere'ów dań była niezwykła, ale ponieważ kucharze mogli dowolnie eksperymentować, zdarzały się i klapy. Carter i Clark byli łatwo dostępnymi królikami doświadczalnymi i dorastali w świecie wyszukanych potraw. Jeśli coś im nie smakowało, było prawdopodobnie niewiele warte. Chłopców zachęcano, by śmiało wyrażali swoje opinie. Ich rodzice często żartowali między sobą, że wychowują dwóch kulinarnych snobów.

Tego wieczoru nie powinno być jednak żadnych reklamacji. Po bruschetcie na blacie wylądowała mała pizza z truflami. Abby poinformowała rodzinę, że przekąski się skończyły, i zaprosiła ich do stołu w jadalni. Na początek Marco podał pikantną zupę rybną cacciucco. Skosztowali jej wszyscy sześcioro i zastanawiali się nad jej smakiem. To było niespieszne jedzenie i chłopcy mieli z tym często problem. Potem były cappelletti, małe ravioli w wołowym bulionie. Carter, który uwielbiał wszelkie rodzaje pasty, uznał, że danie jest pyszne. Abby nie była tego taka pewna. Marco Rosario podał następnie risotto z szafranem. Ponieważ prowadzili badania laboratoryjne, trzecim *primo piatto* było spaghetti z sosem z małży. Porcje były małe, na parę kęsów, i żartowali, że raczej się nie przejedzą. Bracia Rosario kłócili się o składniki, warianty przepisów i tak dalej. Mitch i Abby

też mieli coś do powiedzenia na ten temat i chwilami wszyscy dorośli mówili jednocześnie. Po daniu rybnym chłopcy znudzili się i poszli na górę oglądać telewizję. Ominęło ich danie mięsne, duszony królik, i deser: panforte, wilgotne czekoladowe ciasto z migdałami.

Przy kawie McDeere'owie i Włosi dyskutowali, które przepisy powinny się znaleźć w książce kucharskiej, a które wymagają dopracowania. Praca nad nią powinna zająć kilka miesięcy, więc czekało ich jeszcze wiele kolacji.

Krótko po ósmej bracia Rosario spakowali się, posprzątaali z grubsza kuchnię i byli gotowi do wyjścia. Musieli wracać do trattorii. Obiecali, że pojawią się w przyszłym tygodniu, uściskali się z domownikami i wyszli.

Kiedy w mieszkaniu zrobiło się ciszej, Mitch i Abby wrócili do kuchni. Jak zawsze nadal panował w niej bałagan. Załadowali zmywarkę, włożyli kilka garnków i patelni do zlewu i zgasili światło. Rano miała przyjść pani od sprzątanania.



Kiedy chłopcy zasnęli, Mitch i Abby przeszli do gabinetu, żeby napić się przed snem po kieliszku barolo. Rozmawiali o kolacji, o pracy i starali się odprężyć.

Mitch nie mógł się doczekać, kiedy przekaże żonie wiadomość.

– Jutro nie będę nocował w domu – powiedział. Nie było to niczym nowym. Często wyjeżdżał nawet na dziesięć dni w miesiącu i Abby dawno temu zaakceptowała wymogi jego pracy.

– Nie miałeś tego w grafiku – rzuciła, wzruszając

ramionami. Grafiki i kalendarze rządziły ich życiem i tego nie podważali. – To jakieś fajne miejsce?

– Lecę do Memphis.

Pokiwała głową, próbując ukryć zaskoczenie.

– No dobrze, zamieniam się w słuch. I lepiej, żebyś mi to w przekonujący sposób wytłumaczył.

Mitch pokiwał głową i zrelacjonował jej rozmowę z Williem Backstromem.

– Proszę cię, nie kolejny lokator celi śmierci. Obiecałeś.

– Wiem, wiem, ale nie mogłem odmówić Williemu. Sytuacja jest krytyczna i cała ta wyprawa jest prawdopodobnie stratą czasu. Zgodziłem się jednak spróbować.

– Myślałam, że nigdy tam nie wrócimy.

– Ja też tak myślałem. Ale wyjeżdżam tylko na jeden dzień.

Abby wypija łyk wina i zamknęła oczy.

– Nie rozmawialiśmy o Memphis od bardzo dawna, prawda? – powiedziała, otwierając je.

– Nie. Nie było takiej potrzeby, naprawdę. Minęło już piętnaście lat i wszystko się zmieniło.

– Tak czy owak, nie podoba mi się to.

– Nic mi nie będzie, Abby. Nikt mnie nie rozpozna. Nie ma już tam tych drani.

– Tak ci się wydaje. Z tego, co pamiętam, uciekliśmy stamtąd w środku nocy, śmiertelnie przerażeni i przekonani, że ci dranie nas dopadną.

– Próbowali tego. Ale już ich tam nie ma. Firma rozpadła się i wszyscy poszli siedzieć.

– Tak jak powinni.

– Owszem. I w Memphis nie ma teraz nikogo, kto w niej pracował. Pojawię się tam na krótko i nikt nie będzie o tym wiedział.

– Nie lubię wspominać tego miejsca.

– Posłuchaj, Abby, już dawno temu zdecydowaliśmy, że będziemy normalnie żyć i nie oglądać się przez ramię. To, co się tam zdarzyło, to prehistoria.

– Ale jeżeli przyjmiesz tę sprawę, twoje nazwisko pojawi się w wiadomościach, tak?

– Jeśli przyjmę tę sprawę, co wcale nie jest pewne, nie zostanę w Memphis. Facet siedzi w więzieniu w Nashville.

– Więc po co w ogóle lecisz do Memphis?

– Bo pracuje tam jego adwokat... a właściwie były adwokat. Odwiedzę go w jego kancelarii, przedstawi mi szczegóły i pojedziemy razem do więzienia.

– W Scully mają milion adwokatów. Na pewno mogli znaleźć kogoś innego.

– Nie ma na to zbyt dużo czasu. Jeżeli klient nie zechce się ze mną spotkać, będę zwolniony z wszelkich zobowiązań i wrócę do domu, zanim zdążysz za mną zatęsknić.

– Kto mówi, że za tobą zatęsknię? Stale gdzieś wyjeżdżasz.

– Zgadza się i wiem, że jesteś nieszczęśliwa, kiedy nie ma mnie w domu.

– Ledwo udaje mi się przeżyć. – Abby uśmiechnęła się i pokręciła głową. Uświadomiła sobie ponownie, że kłótnia z mężem to strata czasu. – Proszę cię, bądź ostrożny.

– Obiecuję.

Rozdział 3

Kiedy Mitch wchodził po raz pierwszy do eleganckiego hotelu Peabody w centrum Memphis, zostały jeszcze dwa miesiące do jego dwudziestych piątych urodzin. Studiował wtedy na trzecim roku prawa na Harvardzie i rok później miał ukończyć wydział z czwartą lokatą na roku. W kieszeni miał trzy wspaniałe oferty pracy w wielkich kancelariach, dwie z Nowego Jorku i jedną z Chicago. Żaden z jego znajomych nie mógł zrozumieć, dlaczego marnuje czas na jazdę do firmy w Memphis, która nie należała raczej do prawniczej superligi. Abby też podchodziła do tego ze sceptycyzmem.

Kierowała nim chciwość. Choć firma Bendini, Lambert i Locke była niewielka i zatrudniała tylko czterdziestu prawników, oferowała więcej pieniędzy i przywilejów oraz szybszą ścieżkę awansu na wspólnika. Mitch nie chciał się przyznać do tak niskich motywacji i tłumaczył sobie, że jako chłopak z prowincji będzie się lepiej czuł w mniejszym mieście. W kancelarii panowała poza tym rodzinna atmosfera i nikt z niej nigdy nie odszedł. W każdym razie za życia. Powinien

wiedzieć, że ofercie zbyt korzystnej, by była prawdziwa, towarzyszą zawsze najróżniejsze obciążenia i zobowiązania. On i Abby przetrwali w Memphis siedem miesięcy i mieli szczęście, że udało im się uciec.

Weszli wtedy do hotelowego lobby, trzymając się za ręce i gapiąc się na bogato zdobione meble, orientalne dywany, dzieła sztuki oraz bajeczną fontannę pośrodku sadzawki, w której pływały kaczki.

Po piętnastu latach nadal w niej pływały i przez chwilę zastanawiał się, czy to nie te same. Zamówił w barze napój dietetyczny i usiadł w fotelu niedaleko fontanny. Przypomniał sobie nagle, co wówczas odczuwał: radość, że firmie Ben-dini, Lambert i Locke tak bardzo zależy, żeby go zatrudnić, ulgę, że niedługo skończy studia, oraz głębokie przekonanie, że czeka go świetlana przyszłość: będzie miał nową pracę, nowy dom, luksusowy samochód i wysokie zarobki. Jasne, miał również pewne wątpliwości, ale rozwiały się z chwilą, gdy wszedł do hotelu Peabody.

Jak mógł być taki głupi? Czy od tamtego czasu naprawdę minęło tylko piętnaście lat? On i Abby byli wtedy dziećmi, naiwnymi dziećmi.

Dopił napój i podszedł do recepcji, żeby się zameldować. Zarezerwował wcześniej pokój na jedną noc na Mitchella Y. McDeere'a i teraz, czekając, aż mężczyzna za kontuarem znajdzie jego rezerwację, pomyślał nagle, że ktoś mógł go zapamiętać. Recepcjonista z całą pewnością nie i chyba też nikt inny. Minęło za dużo czasu, a przestępców, którzy go ścigali, od dawna nie było w mieście. Poszedł do pokoju, włożył dżinsy i wybrał się na spacer.

Trzy przecznice dalej, na Front Street, przystanął i przyjrzał się uważnie czteropiętrowemu budynkowi noszącemu niegdyś nazwę Domu Bendiniego. Przeszedł go dreszcz, kiedy pomyślał o krótkim, lecz trudnym okresie, który tutaj spędził. Przypomniawszy sobie nazwiska i twarze ludzi, którzy stąd odeszli, na tamten świat albo żeby zacząć nowe życie gdzie indziej. Budynek został zaadaptowany do innych celów, przemianowany i teraz mieściły się w nim apartamenty z widokiem na Missisipi. Idąc dalej, zobaczył Lansky's Deli, lokal, który był żywą tradycją Memphis i nic a nic się nie zmienił. Wszedł do środka, usiadł przy barze i poprosił o kawę. Po prawej stronie miał rząd boksów – w to późne popołudnie wszystkie były puste. Piętnaście lat wcześniej siedział w trzecim z prawej strony, kiedy nie wiadomo skąd pojawił się nagle agent FBI i zaczął go wypytywać o kancelarię Bendini, Lambert i Locke. To był początek końca, pierwszy wyraźny sygnał, że nic nie jest takie, jak się Mitchowi wydawało. Teraz zamknął oczy i odtworzył w myślach całą rozmowę, słowo po słowie. Agent nazywał się Wayne Tarrance i Mitch wiedział, że choćby bardzo się starał, nie zapomni go do końca życia.

Zapłaciwszy za kawę, wyszedł z Lansky's Deli, ruszył w stronę Main Street i wszedł do tramwaju, żeby się przejechać. Niektóre budynki wyglądały inaczej, inne w ogóle się nie zmieniły. Wiele przypominało mu wydarzenia, które starał się wymazać z pamięci. Wysiadł przy parku, znalazł ławkę pod drzewem i zatelefonował do biura, żeby dowiedzieć się, co go ominęło. Potem zadzwonił do Abby, żeby zapytać o synów. W domu wszystko było w porządku. Nie, nikt go

nie śledził. Nikt go nie pamiętał.

O zmierzchu wrócił do hotelu i pojechał windą na najwyższe piętro. Bar na dachu był popularnym miejscem, w którym oglądało się zachodzące za rzeką słońce, a w piątkowy wieczór popijało z przyjaciółmi drinki po ciężkim tygodniu. Kiedy przyjechał do Memphis po raz pierwszy, żeby omówić warunki zatrudnienia, on i Abby spotkali się tutaj z młodszymi pracownikami firmy i ich żonami. Każdy z nich miał żonę. Wszyscy byli mężczyznami. Takie niepisane prawa obowiązywały wtedy w firmie Bendini, Lambert i Locke. Później, kiedy zostali na dachu sami, zamówili po drinku i podjęli katastrofalną decyzję, by przyjąć ofertę.

Ze szklanką piwa w ręce oparł się teraz o balustradę i patrzył, jak Missisipi opływa Memphis w odwiecznej wędrówce do Nowego Orleanu. Olbrzymie barki z soją sunęły powoli pod mostem do stanu Arkansas, słońce zachodziło nad bezkresnymi płaskimi polami. Znów wrócił myślami do tamtych lat. Obietnica świetlanej przyszłości już po kilku tygodniach okazała się złudna i ich życie stało się niewyobrażalnym koszmarem.

Kolację mógł zjeść tylko w jednym miejscu. Przeszedł na drugą stronę Union Avenue, skręcił w alejkę i już wkrótce poczuł zapach żeberek. Rendezvous było zdecydowanie najsłynniejszą restauracją w mieście i przychodził tu wiele razy, tak często, jak to tylko możliwe. Czasami spotykała się tam z nim po pracy Abby i jedli wędzone na sucho żeberka – tutejszą specjalność – popijając je lodowatym piwem.

Był wtorek i choć lokal pękał w szwach, nie dało się tego porównać z weekendami sprzed piętnastu lat, kiedy ludzie

czekali zwykle godzinę na stolik. Rezerwacje były wykluczone. Kelner wskazał mu stolik w jednej z kilku zatłoczonych sal i Mitch usiadł przy nim tak, by mieć widok na główny bar. Karty dań były niepotrzebne. Po chwili podszedł do niego inny kelner.

– Wie pan, co zamówić? – zapytał.

– Półmisek żeberek, małą deskę serów i duże piwo – odparł Mitch.

Wcześniej zauważył w mieście sporo zmian, ale wiedział, że w Rendezvous na pewno nic się nie zmieni. Ściany były pokryte zdjęciami słynnych gości, programami rozgrywek Liberty Bowl, neonowymi reklamami piwa i zimnych napojów, szkicami przedstawiającymi dawne Memphis oraz fotografiami miasta, niektórymi sprzed wielu dekad. Do tradycji należało przypinanie do ściany swojej wizytówki i musiało ich tam być z milion. Sam też to kiedyś zrobił i teraz zastanawiał się, czy są tam jakieś inne, przypięte przez prawników z Bendini, Lambert i Locke. Ponieważ nikt ich najwyraźniej nie usuwał, podejrzewał, że wciąż wiszą.

Dziesięć minut później kelner przyniósł mu półmisek żeberek, ser cheddar i surówkę coleslaw. Piwo było tak samo zimne, jak zapamiętał. Oderwał jedno żeberko, odgryzł duży kęs i przez chwilę rozkoszował się jego smakiem. To było jedyne miłe wspomnienie, jakie miał z Memphis.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiazka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w **formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).